

## Zapiski z Powstania Warszawskiego Barbara Korwin-Kossakowska

\* \* \*

Gruzy, gruzy, cegły... Wprawdzie po środku zostało już uprzątnięte, ale... ale właśnie dlatego czuję się tu trochę nieswojo. Wtedy było inaczej. Wtedy w sierpniu wrześniu...Mury Starego Miasta są mi bardzo drogie. Kocham je. Spędziłam tu chwile, które zanadto mną wstrząsnęły, aby o nich zapomnieć. Wryły się w pamięć i tkwią wyraźnie, jakby to wczoraj było...Plac Zamkowy taki jakiś dziwnie nagi, bez Kolumny Zygmunta. Podwale, Długa...

Jak tu dziwnie! Uprzątnięte barykady i gruz. Czysto, pusto, cicho. Nikt ciszy nie ma. To dobrze. Takie święte miejsce. Na miejscu mogił wykopane doły, a na murze widnieje napis „Cześć Polakom poległym w egzekucji dnia 2 września 1944 – Polacy.” Nad napisem Orzeł (z koroną) i mnóstwem kwiatów uwiędłych, wśród których widać opaski brudne i wygniecione z napisem „W (Orzełek) P”.

Przed oczyma przesuwają mi się obrazy, które tak dobrze pamiętam i ciągle o nich myślę. Powoli wchodzę do bramy. Widnieją ciemne smugi na asfalcie. Tu ranni palili się żywcem, ciemne zacieki krwi...Boże!Boże!... Dlaczegoś dopuścić? Dlaczegoś nas zaniedbał? Dlaczegoś zabrałeś do siebie tyle młodych dusz? Dlaczego, dlaczego...?

Na podwórku tak dziwnie. Ciała już uprzątnięte. Tu leżały dwa kościotrupy w pół spalone w śmiertelnym uścisku. Zostało tylko trochę nie sprzątniętych odłamków kostnych, gałgany...Na gruzie rosną pokrzywy i liście łopianu. W rogu tylko nie wiadomo skąd wyrosły dwa bujne kłosa żyta i złociście mienią się w słońcu, a obok skaczą szare warszawskie wróble, ćwierkając. A tak ciche jest to miejsce śmierci, ciche, poważne i smutne.

Patrzę w górę. Jaskółki śmigają po jasnym bezchmurnym niebie. Wielki bezbrzeżny smutek i żal zalewa moją duszę. W warszawską ziemię padło ziarno braterskiej krwi i leży w niej głęboko, gorące i złote i czeka na słońce wiosny, aby bohatercko śmignąć w górę. Zbudzi się umęczona warszawska ziemia i znów po raz drugi pomści krzywdę, ból i krew. Po raz drugi. Jeszcze raz spoglądam na szare, zasypane gruzem podwórko. I wzrok mój pada znowu na dwa złote kłosa... Z ziarna krwi braterskiej. Złocą się w wiosny słońcu. Czyżby już?

Na gruzie szpitala leżą jeszcze kości, niespalone strzępy mundurów, opaski. Gdzieniegdzie wychyla się wśród cegieł druciana szyna, kiedyś usztywniająca chore ręce i nogi dziś już nieżyjących Powstańców. Opieram się o mur. Ilu ich nie doczekało tej smutnej wiosny?! Szczęśliwi! Nie patrzą jak ironia losu nas uszczęśliwia. Nie patrzą na dzisiejszą Polskę. Pomarli za Ojczyznę, za naszą wyśnioną Polską, za taką jaką wymarzyliśmy, za jaką biliśmy się. Pomarli. Sterali dla Ojczyzny swoje młode lata! „A kiedy trzeba na śmierć idą po kolei, jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec” Poszli. Żaden się nie cofnął, żaden.

Z zamyślenia zbudził mnie szelest. Na gruz wszedł młody mężczyzna i zaczął mi się przyglądać. Od razu poznałam w nim Człowieka Podziemnego. Bez wahania podszedł do mnie i spytał po prostu:

- Pani tu leżała w tym szpitalu?
- Nie, ale znam te miejsca. Są mi drogie. Czy Pan szuka kogoś stąd?
- Ja tu byłem ranny.
- Znał Pan siostrę Lutę?
- Znałem.

Boże! Ktoś znajomy! Krótka rozmowa, w której chcieliśmy wypowiedzieć wszystko, zbliżyła mnie do niego. Był jednym z tych uratowanych przez nas.

- Ale tu zginęło ludzi. - rzekł.  
Spojrzałam na niego. Miał zaciśnięte usta i smutny, zatroskany wzrok.
- Ale – dodał – to jeszcze nie koniec. Jeszcze raz poleje się krew nasza. Jeszcze wrócą te czasy powstańcze. To były czasy! - rzekł z entuzjazmem. - To były czasy! ... Wrócą jeszcze, wrócą na pewno. Daj Boże! No, do widzenia. Może spotkamy się jeszcze kiedyś w innych, lepszych, da Bóg, warunkach. Może takich, jak wtedy, we wrześniu.  
Zasalutował i zniknął.  
„Da Bóg!” - powtórzyłam za nim. „Da Bóg!...”

Długo stałam i patrzyłam ze łzami w oczach na zalane słońcem podwórko. Kłosa lekko poruszały się na wietrze. Na pewno, gdybym podeszła, usłyszałabym jak szeleszcą: Da Bóg! Da Bóg!

Cisza i smutek wokoło. Gdzieś z daleka słychać muzykę megafonu i ruch uliczny. Słońce świeci jasno, jasno. Jakże gorąco musi być na dworze. Mnie jest zimno. Jakiś wewnętrzny dreszcz mną wstrząsa. Dreszcz strachu co robić. Po raz pierwszy nie wiem co począć. Nie wiem na co się zdecydować. Czuję się dziwnie bezradna, beznadziejnie głupia, czuję, że tutaj mógłby zaradzić tylko mężczyzna. Nie wiem jak z tego wybrnąć, ja, która dotychczas byłam raczej chłopcem niż dziewczyną.

Klasztor w Szymanowie trochę mnie nęci, trochę ciekawi, a najbardziej przeraża. A partyzantka? Ona mnie ani przeraża, ani nęci, ani ciekawi. Ona mnie wprost przyciąga, chwilami nie wyobrażam sobie innego życia, jak właśnie tam w lasach, wśród swoich. Przychodzą tylko czasami momenty strachu i wówczas dreszcz biega mi po plecach: strachu, ale takiego dziwnego, trochę żalu matki, trochę uczciwości i odpowiedzialności, trochę, bo ja wiem, nie potrafię określić... Dziwny, dziwny smutek czarnymi mackami oplata mi serce. Chwilami przychodzi mi na myśl „odważnym szczęście sprzyja” i sama nie wiem czy odwagą byłoby pojechać do Szymanowa czy od niego uciec. Głupie ciepłe łzy wyślą mi spod powiek. Czuję się taka bezradna, taka bezbrzeżnie smutna. Nagle pod oknem odzywają się dźwięki fujarki. Stary warszawski półślepy grajek aż tu zawędrował. Dziwne, że gdy smutno mi było zawsze z daleka odzywały się tony jego prostej fujarki. I dziś... Idąc myślami wraz z jego melodią przypominam sobie słowa: „wojenko, wojenka, cóżeś ty za pani, że za tobą idą, że za tobą idą chłopcy malowani?”

Dziwna jesteś wojenka, dziwna...

”Wojenka, wojenka cóż za moc jest w tobie, kto ciebie pokocha, kto ciebie pokocha, ten

już leży w grobie.”

Znów przypomina mi się Stare Miasto, Długa... drugi wrzesień... Krew, trupy, jęki... Świst morderczych kulek... O, zemsta! Rozkosz bogów! I znowu niedawno słyszane słowa - „Może spotkamy się w innych, lepszych czasach... Da Bóg we wspólnej służbie Ojczyzny...” Nie wiem, nie wiem czy służbą Ojczyzny jest nauka czy walka? Nie wiem. Nie wiem i nikt mi nie odpowie i smutno mi jest i tęskno...

A fujarka gra smutnie i długo, a do serca mi spływa dziwne odrętwienie i niemoc. Wróble ćwierkają na drzewie.

\* \* \*

Diamenty wydobyte z mroku na światło dzienne tracą swój blask... O i jak bardzo. Już nie mienią się tak cudnie, już nie wyglądają tak drogie. Pamiętam, tak dawne się zdaje, tak odległe dni Powstania. Pamiętam długie nocne dyżury, dym papierosowy, senne przemykania oczu i ocykania się westchnieniem chorego. Pamiętam jęki, krzyki i ciche konania. Tyle bólu, tyle nieszczęścia, a tyle z tego dumy i radości. Pamiętam gorąco pożarów, blask łuny na sali i ciche szmery. Noc. Cisza. Siedzę w oknie i patrzę na ogród seminaryjny ciemny, a cały we krwi, a wśród niego czerwoną od blasku i jakby zagniewaną figurę Matki Boskiej, do stóp której pną się herbaciane, spokojne róże. Od czasu do czasu podmuch wiatru porusza ramy okien z jakimś grobowym klekotem i zgrzytem, bezlitosnym przerywaniem ciszy, brzękiem resztek opadającego szkła. Przypominają się minione i niepowrotne szczęśliwe chwile, hen gdzieś sprzed wojny, sprzed lat... Jak dobrze i jak cicho, jak spokojnie i radośnie. Niebo takie jasne i pogodne, takie czyste, opromienione słońcem. Krótkie takie chwile, takie już niewyraźne i zamazane dymem, który nagle pokrywa jasne niebo i nie przepuszcza już promieni słońca. Okrywa się purpurą ognia i krwi. Słychać jęki i huki, a potem świst bomby, zakołysanie się muru i warkot odlatującego samolotu...A potem jeszcze raz jęk, któremu towarzyszy brzęk szkła. Jęk powtarza się najpierw gdzieś z daleka jakby, potem głośniejszy i wyraźniejszy, wreszcie już całkiem dochodzi do moich uszu bolesny wyraz:

- Siostro!  
Ocykam się i z szumem w głowie podchodzę w stronę proszącego. Więc spałam? Boże! Jaka długa ta noc!...Boże, daj mi siłę...
- Czy długo mnie wołałeś?
- Nie, siostrzyczko kochana, kilka razy tylko. Chciałem prosić, żeby siostrzyczka posiedziała przy mnie. Tak mi jakoś straszno. Czy to już rano, że tak jasno?
- Nie, jeszcze noc. Śpij jeszcze. Ja posiedzę tutaj przy tobie. Nie bój się nic. Nic ci przecież nie grozi. No śpij już, dobrze?

Całuję go w czoło i przykucam koło jego łóżka trzymając jego dłoń w swoich rękach. Patrzę na szereg stojących na ziemi noszy z rannymi, na gołe materace i twarde ławki, patrzę...i czuję, że ciepłe łzy toczą mi się po policzkach. Jakiś żal ściska mi serce i łkanie wstrząsa mną. Potem już bez wstydu i wstrzymywania się pozwalam łzom toczyć się i padać na mój brudny fartuch. Nikt nie widzi, na pewno nikt. Obok słyszę miarowy oddech śpiącego chłopca. Powoli, ostrożnie puszczam jego rękę, która bezwładnie opada na kołdrę i odchodzę na palcach w stronę okna. Nie chcę już myśleć o tym co było, co jest, co będzie. Chcę czuć, chcę żyć tą chwilą, która jest w tej chwili, chcę myśleć wraz z życiem. O! To nie takie łatwe! Zapalam papierosa i otaczam się niebieskim dymem i naprawdę nie myślę. A raczej myślę, myślę o rozżarzonej koniuszku papierosa, który powoli się spala i skraca biały, długi papieros, tak jak życie.

Moja sala pustoszeje. Co chwila otwierają się drzwi i wchodzi ludzie z noszami po moich chorych do transportu. Z żalem spoglądam na zamykające się drzwi, za którymi nikt nie kołysany na noszach co i raz jakiś chory. Jak prędko można się przywiązać do

takich kochanych chłopaków, jak strasznie prędko. Czasami jeden malutki fakt potrafi

tak się wyryć w pamięci na zawsze. Nie znałam nazwisk chorych. Nie pamiętam imion. Pamiętam tylko czasami twarze, przeważnie rany, a zawsze drobne fakty.

Leżał na wprost drzwi szesnastoletni chłopiec. Twarz miał spuchniętą, oczy zaczerwienione i zaropiałe ropą toczącą się z policzka. Rzęsy zlepione łzami i zeschniętą krwią. Dwie niewydobyte kule miał w twarzy. Cierpiał bardzo, tym bardziej, że dolegała mu chora ręka i prawie zawsze spotykana wówczas u rannych biegunka. Powierzchność tego chłopca mogła wzbudzić i odstręczające wrażenie. Jednak we mnie wzbudziła wielką sympatię, szacunek i braterskie kochanie. Chłopiec krępował się ciągle mnie prosić o usługę i naprawdę szczerze był zmartwiony, że tyle przy nim jest roboty. A robota była najbardziej brudna i obrzydliwa, jaką tylko można sobie wyobrazić. Chwilami, gdy wykonywałam przy nim swoje obowiązki, oczy napępniały mi się łzami z wysiłku, żeby nie odetchnąć, żeby wytrzymać. Nie robiłam ze wstrętem, ale to było takie niezgodne z popędami organizmu, takie po prostu nieestetyczne.

Raz zawołał mnie do siebie, gdy miałam dyżur nocny. A gdy spytałam co potrzebuje, prosił, żebym usiadła.

Wziął mnie za rękę i rzekł:

- Siostra taka czysta i ładna pewnie brzydzi się mnie, ale dziś jestem umyty. Niech mnie siostra weźmie za drugą rękę. O, tak, dobrze; a teraz niech mnie siostra posłucha. Chciałem siostrę bardzo przeprosić, że ciągle siostrę fatyguję i taką obrzydliwą robotę siostra przy mnie robi.

Chciałam zaprzeczyć, ale rzekł zaraz:

- Niech siostra nie przeczy. Ja wiem, siostra jest taka młoda i to, co siostra robi przy mnie to jest zbrukanie dziewczęcych marzeń, to jest naruszenie delikatności i to jest takie strasznie nieestetyczne i brudne. To nie dla siostry. Siostra wybaczy, że mówię, ale chyba mnie siostra rozumie.

O tak, rozumiałam go dobrze. Ten młody, prosty chłopiec miał subtelną naturę i delikatność i prosto ją wyraził.

Odwrócona tyłem do okna, z którego bił blask pożarów, długo ze łzami patrzyłam na śpiącego chłopca, którego gorące ręce parzyły moje dłonie...

Na wprost drzwi mojej sali stało puste łóżko. Powoli obejrzałam się naokoło czy na pewno nikogo już nie ma, a potem wolno zamknęłam za sobą drzwi i poszłam korytarzem do schodów i na ulicę do aut transportujących chorych. Przez szybę zobaczyłam kilku z mojej sali. Weszłam do środka. Z brzegu leżał zdaje się, że Władek, którego pocałowałam na do widzenia i zamieniłam z nim kilka słów. Auto miało zaraz ruszać, więc chciałam wyjść już, a Władek pocałował mnie w rękę tak, jak brat siostrę. Może pierwszy raz w życiu nie zrobiło mi to przykrości. Stałam z boku autobusu i patrzyłam w jego okno. Z głębi wyjrzała na mnie twarz chłopca z kulami w twarzy. Płakał. Duże łzy toczyły bruzdę po spuchniętej twarzy. Czulałam, że coś ścisną mnie w gardle. Spojrzałam na niego i lekko zmarszczyłam się.

- Nie wolno. - rzekłam twardo.

Nie usłyszał, ale zrozumiał ruch warg.

„Ja nie płaczę.” Odgadłam wzrokiem jego odpowiedź i zobaczyłam przeczący ruch głowy. Ale łzy jak na złość dwoma sznurkami wypłynęły mu spod powiek.

W tej chwili auto zawarczało, chłopiec zasłonił twarz ręką i zobaczyłam jak wstrząsnęło nim łkanie. Auto ruszyło i w chwilę potem znikło za zakrętem. Spojrzałam w górę. Na tle jasnoniebieskiego nieba ze świergotem uganiały się jaskółki.

\*\*\*

Twardo było spać na zimnej podłodze seminaryjnej z pięścią pod głową i w lekkim płaszczu zarzuconym na plecy. Twardo i niewygodnie. Musiało już być rano, bo w małym przechodnim pokoiku było szaro, a w mroku już można było rozeznac kilka osób śpiących pokotem na ziemi.

Szyby drżały od ustawicznego huku, do którego przywykły już uszy, a który usypiał jak kołysanka. Rano skrzypnęły drzwi, przy których leżałam i ktoś przeszedł przez pokój na korytarz. Usiadłam, objęłam rękami kolana, oparłam głowę o ścianę i tak siedziałam bez myśli i bez ruchu. Drzwi raz otworzone zaczęły się otwierać coraz częściej i jakieś dwie panienki zaczęły chodzić na korytarz i z powrotem. Zaczęłam je obserwować. Jedna z nich rumiana, ładna, z zadartym noskiem, z ciemnymi włosami i oczami, na palcach przechodziła przez ciasny pokoik, uważając, żeby kogoś śpiącego nie potrącić nogą lub nie stąpnąć za głośno. Druga blada, wyższa i szczuplejsza przypominała chłopca postawą i żołnierskimi ruchami. Gdy przechodziła koło mnie, przyglądałam się i jak mi się zdawało, uśmiechała się lekko. Obie dziewczynki podobały mi się i postanowiłam je obserwować, ale wyszły na korytarz i długo nie wracały. W pokoiku śpiący zaczęli się budzić od głośniejszych kroków, małe dziecko na rękach młodej matki zaczęło płakać przeraźliwie. Ktoś zaczął uspakajać, ktoś inny wstał i zaczął się czesać. Wstałam także, wyszłam na korytarz i zaczęłam błądzić po dużym gmachu seminarium. Po jakichś schodach, salach zastawionych ławkami, korytarzach, pokojach, refektarzach. Wszędzie mnóstwo ludzi, leżąc lub siedząc na ziemi, spało lub świeżo przebudzeni przecierali zaspane oczy. Bez celu chodziłam po długich korytarzach, przyglądając się różnym typom ludzi, których jednakowo los dotknął. Patrzyłam na nich, na ich blade twarze, na dziecinnie zdziwione i niepewne oczy, na ich tłomoki z rzeczami, które kurczowo trzymali w rękach. Patrzyłam i zdawało mi się dziwne, że tyle ludzie nie ma domu, nie ma schronienia, nie ma nic...Zapatrzyłam się w te nieszczęśliwe twarze, zamyśliłam się i długo, długo stałam, patrząc przed siebie, a nie widząc.

Z zamyślenia ocknął mnie miły głos widzianej rano blondynki o męskich ruchach, która przyszła do mnie z propozycją pomagania jej przy chorych starcach. Zgodziłam się chętnie. Poszłyśmy obie korytarzem. Zaraz też do nas dołączyła się brunetka, którą także widziałam rano. Od tej chwili byłam ciągle zajęta. Jaga i Basia wraz ze mną chodziły po całym gmachu, wyszukując chorych i niedołączonych starców z tłumu ludzi, których odprowadzałyśmy do pustej sali specjalnie dla nich przeznaczonej. Potem z trudem zdobywałyśmy seminaryjne materace od zdrowych ludzi dla naszych chorych staruszków, często zostawiając za sobą gniewne pomruki, groźby i przekleństwa. Staruszków przybywało coraz więcej tak, że z jednej sali zrobiły się dwie małe na dole, na których leżało także dwóch młodych, rannych chłopców, i jedna duża na górze, na której mieściło się bardzo dużo chorych, tylko starców. Od rana na salach było dużo roboty, trzeba było brudnych, sparaliżowanych i połamanych, z wszami we włosach i z

odleżynami na plecach staruszków umyć, dać im śniadanie, często samej nakarmić, dać im wodę z winem na cały dzień, pozmywać naczynia, zmierzyć temperaturę, poprawić pośłania, itd., itd., bez końca aż do wieczora. Odtąd też zaczęły się dyżury nocne, senne kiwania głową w krótkich wolnych chwilach od żądań chorych, zaczęło się palenie papierosów, żeby nie czuć potwornego zapachu nigdy nie wietrzonych salek i żeby nie zasnąć. Zaczęła się męcząca, podła praca, obrzydliwa i nieestetyczna. Ale nam było dobrze, że nie byliśmy nieużyteczne, że dawałyśmy coś z siebie. Jaga i Basia były bardzo miłe, szlachetne i szczerze. Od chwili współpracy z nimi zamieszkałam w ich pokoiku, a raczej w ich kącie pokoju, w którym mieszkała jeszcze jedna pani z synkiem i ksiądz. Dobrze nam było, wspólna praca nas połączyła. Zżyłyśmy się z sobą bardzo. W wolnych chwilach przychodziłyśmy na nasz materac i rozmawiałyśmy, gryząc kostki cukru. I tak płynęły dni.

Godzina ósma. Na sali staruszków jest już szarawo. Jaga i ja dajemy lekarstwa na noc, przynosimy picie, poprawiamy pośłania. Jaga daje wskazówki jakiejś młodej panience co do chorych, gdyż ma ona objąć w zastępstwie nas dyżur nocny. Wreszcie wychodzimy na korytarz, żeby już pójść do siebie, ale Jaga wstępuje jeszcze do drugiej, małej salki porozmawiać z Józkiem czy Zygmuntem. Na sali pali się świeca i oświetla chorych leżących tutaj. Leży tu dwóch chłopców rannych, Józek i Zygmunt, i reszta staruszkowie. Siadamy obok chłopców i jak zwykle gawędzimy o tym i owym. Józek koniecznie chce wyzdrowieć i iść bić się jeszcze, ale ból nogi nie daje jeszcze stąpnąć, chociaż rana goi się dobrze. Jest wesoły, pełen dobrej myśli, zawsze się śmieje, czasem tylko oczy zachodzą mu mgłą zamyślenia i smutku. On chciałby być zdrowy! Zygmunt trochę grymaśny, flegmatyczny i mniej wytrzymały na ból, też jest miły. Lubimy ich obu. Lubimy pogawędzić z nimi... Teraz też siedzimy przy nich, a Józek aż skacze na łóżku na myśl, że pójdzie, że polecą do swoich kolegów... Nagle na korytarzu słychać głośne stąpania żołnierskich, nabijanych gwoździami butów, jakieś przekleństwa niemieckie, pijane krzyki. Kroki dudnią po kaflach coraz bliżej i głośniejsze i zatrzymują się przed drzwiami naszej sali. Ktoś bierze za klamkę... Jaga poważnie spogląda na mnie i potem prędko gasi świecę.

W tej samej chwili roztwierają się drzwi i wchodzi żołnierz niemiecki świecąc latarką.

- Sanitariuszki są? - pyta pijanym głosem.
  - A co? - pyta któryś z chłopców.
  - Po rannych trzeba iść.
- Jaga pociąga mnie w dół i cichutko szepce:
- Włóż pod łóżko.
- Nie pytam o nic, tylko wciskam się pod łóżko chorego, a jednocześnie zadaję sobie pytanie dlaczego Jaga tak postępuje, dlaczego nie chce iść po chorych?
- Nikłe światło latarki pijanego żołdaka błąka się niecierpliwie po całej sali.
- Są sanitariuszki czy nie? - głośno już wrzeszczy żołnierz. - Po rannych trzeba iść i tylko młode i ładne.
  - Sanitariuszek nie ma, już poszły do siebie. Tu sami chorzy. - mówi Józek.
- Żołnierz zaklął grubo pół po polsku, pół po niemiecku. Trzasnął drzwiami i wyszedł dudniąc butami po kaflach. Usłyszałyśmy poślizgnięcie się, hałas, nowe klknięcie, a potem już dalsze kroki ciężkich butów i cisza. Jaga zapala świecę, bierze mnie za rękę i

mówi:

- Chodźmy.  
Żegnamy chłopców i wychodzimy. Na korytarzu Jaga mówi do mnie:
- Ty myślisz, że to chodzi o rannych? Akurat! Po rannych trzeba iść, a potrzebne są młode i ładne sanitariuszki. I to o tej porze! Dziewiąta godzina. A ja miałam jakąś intuicję i zgasłam świecę. Niczego się tak nie boję jak „tego” właśnie. Wolałabym śmierć!...  
Jaga ściska mnie mocno za rękę i szybko pociąga mnie za sobą do naszego kąta, gdzie czeka na nas Basia, gryząc niecierpliwie kostki cukru...

Odtąd co wieczór Niemcy przychodzili po sanitariuszki „mające iść po rannych”. Co wieczór słyhać było hałasy i burdy, co wieczór żołnierze wpadali do piwnic i brali wino...Myśmy nie wychodziły już do chorych starszków. Naszą funkcję objął ktoś inny, starszy. Cały dzień siedziałyśmy w kącie pokoju, nasłuchując czy ktoś nie idzie. Kilka razy wpadli do naszego pokoju Niemcy, szukając młodych panien, ale jakoś zawsze udało nam się schować lub udać chore. Okropne było to uczucie ściganej zwierzyny. Aż wreszcie przyszedł koniec obawom. Przyszedł ksiądz, kazał nam wziąć swoje manatki i przez piętra, kręte korytarze, galeryjką z zasuwanymi matowymi drzwiami, i przez jakieś schody zaprowadził nas do dużego prywatnego mieszkania śp. księdza Regensa. Tutaj wprowadził nas do jednego z pokoi, w którym stały szafy z książkami, łóżko z materacem, parę krzesel i nic więcej. Kurz pokrywał wszystkie sprzęty, widać dawno nikt tutaj nie mieszkał. Poczciwy ksiądz kazał nam tutaj zamieszkać i nie wychodzić stąd wcale do chorych i nie pokazywać się nigdzie. Dobry był, dbał o nas, przynosił książki do czytania. Odtąd siedziałyśmy zadekowane przyjmując wizyty księży lub mamy, która zawsze przynosiła nam jakieś zdobyczne smakołyki. I tak przechodził dzień za dniem, na czytaniu książek, leżeniu lub wyczekiwaniu wizyt księży. Czasem tylko wymykałyśmy się na raniutką mszę świętą lub wieczorne nabożeństwo odprawiane w kaplicy, czasem zaglądałyśmy do chłopców, żeby chwilę pogadać i prędko wracałyśmy do siebie na długie chwile bezczynności, które zaczęły nas męczyć więcej niż praca. Potem na śniadania, obiady i kolacje zaczęłyśmy schodzić do refektarza. Jadali tam księża, personel kuchenny i sanitarny. W personelu kuchennym była Czecha, żona majora. Podobna była do murzynki, była mała, brzydka, ale oryginalna. Wielką jej ozdobą były olbrzymie, czarne oczy, w które można się była zapatrzeć, gdy mówiła, a których blask hipnotyzował dosłownie. Czecha także jadała z nami w refektarzu. Sama nie wiem kiedy ją polubiłyśmy i kiedy stała się naszą, jakby starszą koleżanką. Często odwiedzała nas w naszej pustelni, przynosiła jakieś zafasowane siostronom zakonnym lepsze kąski lub wino. Gdy przychodziła do nas i gwizdała pod oknem, żeby jej otworzyć, robiło nam się weselej i raźniej. Zamykałyśmy wtedy okna naszego pokoju prowadzące na malutkie podwóreczko i siadałyśmy obok Czechy na łóżku. Śpiewałyśmy, a raczej Czecha śpiewała przy naszym cichym wtórze wojskowe piosenki. Bardzo wzruszały mnie te chwile, szczególnie że pod naszym pokojem był korytarz, gdzie ciągle kręcili się Niemcy, waląc butami, klnąc lub śpiewając.

Wkoło słyhać było strzały przypominające, że gdzieś niedaleko nasi walczą, że nie wszyscy, tak jak my, są w niemieckiej dzielnicy. Ach! Siedzieć tu w bezczynności i myśleć o nich i nie móc im pomóc, nie móc dla nich zrobić nic, chyba modlić się...To straszne!

„Hej, chłopcy! Bagnet na broń  
Długa droga, daleka przed nami,  
Trud i znój...”

Czecha śpiewa, a ja patrzę w jej oczy jak urzeczona, w oczy, które nadają wyraz słowom i zdaje mi się, zdaje mi się, że jesteśmy w okopach, że śpiewamy razem z chłopcami. Głos jej silny i niski rozlega się po całym pustym mieszkaniu i odpowiada echem... „przed nami trud i znój...”

I robi mi się nagle tak strasznie smutno, że ja nie mogę powiedzieć: „przed nami trud i znój”, tylko „przed wami...”, że ja się nie liczę, że nie jestem nawet małym pionkiem w tej całej świętej sprawie. Jestem niczym. I z zazdrością spoglądam na Czechę, Jagę i Basię. Ale nie zawsze opanowuje mnie smutek przy wizytach Czechy. Na stole stoi wino, racuchy i sałatka z pomidorów. Siedzimy z Czechą przy stole i jemy nasze nadzwyczajne zdobycze. Dumne jesteśmy, że tylko my w całym klasztorze, nie przejmując się niczym, jadamy przy stole, popijając winkiem, tak jak nikt.

– Zdrowie naszych chłopaków! - mówi Czecha, podnosząc kieliszek.

I śmieje się, śmieje się cała sobą, ustami, oczami, grą mięśni twarzy. Śmiejemy się i my, zapijając toasty. Potem też śpiewamy lub rozmawiamy. Czecha wznosi filiżankę z winem i w powietrzu zaznaczając nowy rytm, śpiewa:

„Po kieliszku pierwszym jest mi lepiej,  
Po kieliszku drugim humor mam,  
Po kieliszku trzecim wołam: Wódka krzepi!  
A po czwartym...”

A potem jednym haustem wypija zawartość filiżanki wraz z nami. Wszystkie jesteśmy skończone pijaczki, pijemy dużo, ile tylko można. Jesteśmy pijaczki, ale i smakoszki. A potem Czecha opowiada nam długie historie o swojej Anielce, o swoim mężu, o domu. Najbardziej lubimy słuchać, gdy opowiada o tym jak jej mąż był w wojsku, jak walczył w 39 roku, jak dzielnie zginął do końca dowodząc swoimi żołnierzami, choć konał z upływu krwi, wypływającej z rany na głowie i ręku. Gdy Czecha to opowiada, głos jej staje się smutniejszy, a oczy już nie błyszczą wesołością, ale dumą i żalem.

Po skończonej opowieści zalega cisza, sama nie wiem czy krótka czy długa. Ale Czecha sama przerywa ją już całkiem wesołym głosem.

– A teraz zaśpiewam wam bardzo mądrą pieśń, której nauczył mnie mój mąż, piosenkę z wojska:

„ O cincinella, cincinella, cincinella  
La bella granda cavaleria,  
O cincinella,cincinella, cincinella,  
La bella granda artyleria.”

Czecha, wymachując pięścią w takt, spuszcza ją z ostatnią sylabą na stół, który podskakuje z towarzyszącym mu brzękiem filiżanek i wybucha śmiechem.

- Mądra, co?  
Śmiejemy się głośno i serdecznie....

Raz tylko miałam żal do Czechy.

Po wodę chodziłyśmy na ulicę Bednarską. Brałyśmy duże kotły, dzbanki i w ogóle co się dało i szłyśmy eskortowane przez Niemca. Raz wracałyśmy razem z Czechą z napełnionymi naczyniami, stawając co pewien czas dla odpoczynku. Doszłyśmy do seminarium, weszłyśmy na korytarz, ale ja nie mogłam już dłużej nieść i postawiłam swoje i Jagi naczynia przed samymi drzwiami wachy, w których stał młody, przystojny Niemiec i widząc mnie zziadającą i czerwoną coś do mnie powiedział po niemiecku. W tej chwili Czecha weszła za nami na korytarz, zobaczyła, że stoję przed Niemcem i że on coś mówi i spojrzała na mnie z wyrzutem, a przechodząc, rzekła opryskliwie niemal:

- Baśka! Nie możesz już sobie wybrać lepszego miejsca postoju? Chodź zaraz! Nie wierzę, że byś była aż tak zmęczona, że byś nie mogła... - zmrużyła złośliwie oczy.

Zalała mnie fala oburzenia i gniewu, czułam, że robię się pąsowa, że łzy napełniają mi oczy. Naokoło stało parę osób i patrzyło na to wszystko. Zrobiło mi się tak przykro, że spuściłam głowę i patrzyłam w chlupoczącą wodę, którą przed chwilą postawiłam, patrzyłam jak winowajczyni. I Jaga w tej chwili podniosła jedno ucho kotła i dzbanek, więc i ja chwyciłam swój i razem z nią uniosłam kocioł. Poszłyśmy korytarzem i zaniósłyśmy do siebie na górę wodę. Czecha tu prędzej przyszła, stała w drzwiach. Nie patrząc na nią zaniosiłam wodę do łazienki. Zła byłam okropnie, czułam się pokrzywdzona i poniżona, bolało mnie bardzo powiedzenie Czechy. Chwilami chciałam pójść do niej i powiedzieć jej, że sądzi po sobie, że to ona bez potrzeby chodzi do wachy niemieckiej na rozmowy, że jakiś tam Alfred przynosi jej różne rzeczy, że chociaż jest Niemcem, nawet najlepszym, nie powinna nic od niego wziąć, że jej przypuszczenie jest oparte na jej własnym postępowaniu. Już, już chciałam wybuchnąć tym wszystkim przed nią, powiedzieć co myślę o jej postępowaniu, że ono mnie razi, ale pohamowałam się. Takie załatwienie sprawy byłoby wulgarnie. Przy obiedzie nie jadłam prawie nic, ku zdumieniu Jagi, Basi, a przede wszystkim Czechy, która nawet zrobiła uwagę, że mało mówię i jestem dziwnie niemrawa. Nie odpowiedziałam nic, a po obiedzie, pod pretekstem mycia się poszłam do łazienki i gryząc paznokcie z szału, w który wpadłam, paliłam papierosy jeden po drugim. Czułam, że to małe, jak się zdaje, zdarzenie, bardzo mi zbrzydziło wyidealizowaną postać Czechy. Wieczorem stojąc w stołowym pokoju pod oknem, stałam i myślałam, że Czecha nie lubi mnie i dlatego tak odezwała się do mnie, ale byłam pewna, że i ja nie darzę jej od tego zdarzenia sympatią. Uważałam, że jej postąpienie było niskie i podłe, szczególnie w obecności innych.

Gdy myślałam tak, podeszła do mnie Czecha i pocałowała mnie:

- Zdaje się, że się gryziesz moim rannym powiedzeniem, ale wierz mi, że naprawdę tak wyglądało, jakbyś naumyślnie..., nie mówię „ja” oczywiście, ale inni mogliby tak pomyśleć, no i w ogóle... - zaczęła się płatać.
- Wcale się nie gryzę, drobnostka. - odpowiedziałam.
- Naprawdę nie chciałam ci zrobić przykrości. Powiedziałam tak, jakbym powiedziała do Anieli. Ona by się nie obraziła, bo wie, że jej dobrze życzę.
- Wcale się nie obraziłam i jeśli chodzi o Anielę to ja nigdy w takim wypadku nie

powiedziałabym czegoś podobnego do mojej córki. Byłabym jej zanadto pewna. Zresztą, powtarzam – drobnostka. Wcale się nie gniewam.

Czułam, że łzy cisną mi się do gardła, łzy złości i ostatecznego już roztrzęsienia nerwów. Chcąc zapobiec wybuchowi pocałowałam bez entuzjazmu Czechę i powtórzywszy „nie gniewam się”, odeszłam prędko wymawiając się jakimś niezręcznie wysuniętym pretekstem. W gruncie rzeczy nie miałam już żalu do Czechy, ale to jej powiedzenie zarysowało mi się głęboko w duszy i bardzo mną wstrząsnęło. Bardziej niż mogłoby się wydawać. Ale później wszystko przeszło i tylko w pierwszej chwili zdawało mi się, że Czecha jest zła na mnie, że ona, wodząca rej u nas, usłyszała taką odpowiedź. Później się wszystko zatarło, a Czecha na stałe zamieszkała u nas, jak gdyby nigdy nic. A właściwie to było nic.

Dosyć często przychodził do nas ksiądz Miszta lub jego brat pseudo-ksiądz. Ksiądz Zygmunt był młody, dosyć poważny i jak mi się zdaje lubił nas odwiedzać. My także lubiliśmy jego wizyty. Pokazywał nam swoje rysunki, przynosił nam książki do czytania, prowadził z nami rozmowy. Przyznam, że choć był mały i śmieszył mnie jego kontrast wiadomości ze wzrostem i w ogóle całą jego postacią, lubiłam go i w miarę czasu zaczął mi się trochę podobać jako mężczyzna. Nigdy nie podobali mi się mali ludzie, toteż nie rozumiem jak mógł mi się podobać ktoś dostający mi czubkiem głowy do ucha, mały, a do tego ksiądz, wprawdzie nie skończony, ale ksiądz. Wprost dziwiłam się sama sobie, bo gdy miał do nas przyjść, ubierałam się porządnie i zaglądałam do lusterka. Zupełnie idiotka. Po pewnym czasie ksiądz Zygmunt zaczął Jadze i mnie mówić po imieniu. Tylko Basi nie ośmielił się – nic dziwnego, młoda, ale mężatka. Nie przypadło mi to do smaku, więc lekko dałam mu do zrozumienia, że sobie nie życzę. W ogóle zaczęło mi się dosyć często nie podobać i można by powiedzieć zbyt wyzywające zachowanie jak na przyszłego księdza. Moje danie mu do zrozumienia, że nie chcę, by mówił nam po imieniu, pomogło nie na długo. Zresztą jeśli chodzi o jego zachowanie to najbardziej przyczynił się do tego ujemnie jego brat także. Był to młody człowiek wzrostu niewiele wyższego od brata, za to grubo brzydszy, weselszy, ordynarny niemal w swoich powiedzeniach i w całym zachowaniu. Chodził w starej sutannie księdza Zygmunta, przeważnie rozpiętej od pasa do dołu i pod szyją, która nago wyzierała z całego tego ubioru, rażąc brakiem kołnierzyka, jaki zwykli nosić księża. Gdy szedł, rozpięta sutanna powiewała za nim, a z przodu wyłaziły długie, olbrzymie buty oficerskie wsadzone na boscie nogi, o czym mogliśmy się nieraz przekonać, gdy siedział u nas założywszy nogę na nogę. Była to karykatura o koziej twarzy i fałszywym głosie. Mimo, że zdawałyśmy sobie sprawę, jak bardzo duże braki w wychowaniu zostają u pseudo-księdza Zbyszka, jednak jego wizyty dosyć mile były widziane, gdyż rozweselały nas i zapełniały nam czas. „Ksiądz” Zbyszek opowiadał nam różne niewiarygodne i na pół skłamane historie, pokazywał chwytty komandoskie i w ogóle czuł się u nas bardzo swobodnie, może za swobodnie. Przy pokazywaniu chwytów komandoskich wykręcał swemu bratu ręce tak, że ten robił się czerwony jak burak lub kazał nam stawać naprzeciwko siebie i trzymać coś w ręku niby pistolet, a on pokazywał jak się go wytrąca i tym podobne rzeczy, jak na przykład wkładanie palcy w oczy i obrona przed tym. Były to rzeczy zaiste niesłychanie pasujące do jego ubioru duchownego. Patrząc na jego podrygi, wyginania, nagłe zwroty, dzięki którym sutanna powiewała jak kloszowa sukienka tancerki i inne wyczyny, pokładałyśmy się ze

śmiechu. Swoją drogą co nam szkodziło się zabawić. Zresztą przywykłyśmy do dziwnego sposobu bycia tych dwojga i nawet lubiłyśmy ich.

Ksiądz Zbyszek miał lornetkę polową i zabrał nas na strych obserwować bombardowanie Starego Miasta. Gdy wzięłam lornetkę do rąk i zbliżyłam ją do oczu, zobaczyłam zupełnie z bliska poszarpane mury Starego Miasta. Chciałam spojrzeć na Kolumnę Zygmunta, ale przypomniałam sobie, że już jej nie ma. Ścisnęło mi się serce. Przypomniała mi się jakaś przepowiednia głosząca, że dopóki będzie istniała Kolumna Zygmunta, dopóty będzie stała Warszawa. Więc Warszawa ma przestać istnieć? Na zawsze? Czy to możliwe?

Powoli przenoszę wzrok na Zamek spalony 39-ym roku, na szczyty jakiś całych jeszcze domów i robi mi się smutno. To wszystko przestanie istnieć. Wszystko! Nagle słychać warkot motorów. To niemieckie sztukasy po raz nie wiadomo już który tego dnia, lecą bombardować dzielnie trzymające się wciąż Stare Miasto. Jeden za drugim zniżają się tuż nad dachy, spuszczały po kilka bomb wyglądających jak małe cygara i unoszą się do góry, by znowu spuścić się i znowu unieść. Po chwili następują głośne wybuchy, a niebo zasnuwa się granatowymi i żółtymi kłębami dymów. Tu i ówdzie na tym czarnym tle wystrzelają czerwone i białe rakiety i zaznaczywszy łuk, nikną w dymie. Samoloty krążą w tym dymie jak mary prawie niewidoczne i jakby nierealne. Wybuchy następują coraz silniejsze, coraz gęstsze kłęby pokrywają niebo.

- Fantastyczne - mówi cicho, jakby do siebie, Jaga, ze swoistym zaakcentowaniem „fantastyczne”.

Długo stoimy i patrzymy na ten dziwny, wspaniały, a jednocześnie straszny widok. Samoloty już odleciały i tylko z dala dochodzi ich warkot. My stoimy. Dymy wciąż kłębią się i rozsnuwają po jasnym niebie....

[1945]

## **Barbara Korwin-KOSSAKOWSKA (1929-2007)**

W czasie okupacji należała do tajnego harcerstwa przy szkole J. Kowalczykówny w Warszawie (Hufiec Wybrzeże Kościuszkowskie), w drużynie Błękitnej. W czasie Powstania, wyrzucona wraz z matką z domu przy ul. Bednarskiej 22, pracowała w gmachach seminaryjnych przy kościele Karmelitów na Krakowskim Przedmieściu, zamienionych w szpital powstańczy i przytułek dla starych osób. W końcu sierpnia 15-letnia Basia nosiła ze szpitala przy ulicy Długiej (róg Kilińskiego) do kościoła Karmelitów nosze z rannymi. Po Powstaniu ukończyła szkołę u SS. Niepokalanek w Szymanowie (1945-1948). Potem w Warszawie studiowała architekturę na Politechnice i malarstwo na Akademii Sztuk Pięknych.

Córka lekarzy chirurgów – Jana (1900-1979) i Stanisławy (1897-1981).

Ojciec w czasie Powstania był lekarzem w szpitalu powstańczym na ulicy Śliskiej. Matka wraz z Basią pracowała w tym czasie u Karmelitów. Po wojnie Jan Kossakowski był profesorem chirurgii dziecięcej Akademii Medycznej w Warszawie.

Brat Eustachy (1925-2001) miał swój punkt powstańczy na Pradze. Wywieziony do obozu w Pruszkowie, po wojnie został wybitnym fotografem i pracował w Paryżu.

Siostra Zofia (ur.1927) w początkach Powstania była sanitariuszką w szpitalu na Śliskiej, potem w zgrupowaniu „Gurt” na Chmielnej i Złotej. Swoje wspomnienia powstańcze umieściła w książce: Zofia Kossakowska-Szanajca. „Zapiski dla wnuków”, Warszawa 2009, wyd. Biblioteka „Więzi”.

ZAPISKI Z POWSTANIA 1944  
Barbary Kossakowskiej

*Zachowane fragmenty „Zapisków” pochodzą z 1945r.  
Na okładce reprodukcja obrazu olejnego Barbary Kossakowskiej.*